Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 61 (2157) 1 sierpnia 1972 r. Cena 50 gr

LATO LEŚNYCH LUDZI

Na powitanie wschodu słońca wyruszyłyśmy o godz. 2.30. Wzięłyśmy ze sobą prowiant, apteczkę naszego zastępu i przybory do pisania. Wieś sprawiała wrażenie wyludnionej, a my czułyśmy się trochę jak zabłąkani wędrowcy. Do lasu dotarłyśmy o godz. 2.50. Weszłyśmy ostrożnie, aby nie płoszyć budzących się ptaków i zwierząt. Cicho usiadłyśmy na trawie i nasłuchiwałyśmy ptasich głosów, które zlewały się w jeden ton. Z trudem udało się nam wyłowić pojedyncze głosy. A oto niektóre z nich: „tii, tii, tik, stuk, grm, grm, ćwir, ćwir, hm, hm". Słyszałyśmy także różnego rodzaju gwizdy i świsty. Chwilami wydawało się nam, że są one blisko, potem bardzo się oddalały. Słuchałyśmy tego ptasiego koncertu z wielkim zainteresowaniem. Byłyśmy nim oczarowane. Nie udało nam się tylko zaobserwować wschodzącego słońca, bo niebo było zachmurzone. Skorzystałyśmy z zabaw podanych w „Świecie Młodych" i zabawiłyśmy się w leśnego berka. Do domu wróciłyśmy o godz. 7.40.

„CZERWONE MAKI"
z Syczyna

STR 3

NOWA WYPRAWA KPT. DĄBROWY

III CENTRALNE MANEWRY TECHNICZNO-OBRONNE

ZMAGANIA w promieniach SŁOŃCA

SPAŁA — malownicza miejscowość położona w zakolu Pilicy, wśród rozległych lasów, które podczas ostatniej wojny były terenem bohaterskich walk partyzantów z oddziałów majora Hubali-Dobrzyńskiego. Tam właśnie rozbiły obozy zgrupowania III Centralnych Manewrów Techniczno-Obronnych. Przez dziesięć dni dziewiętnaście zespołów reprezentujących poszczególne województwa i miasta wydzielone, toczyło pasjonującą rywalizację o miano najlepszego w kraju; 2,5 tys. harcerek i harcerzy przyżyło **Wielką Przygodę...**

Ja Pilot I, ja Pilot I...

W gęstwinie drzew pracują radiostacje. Krzyżują się w eterze wywoławcze sygnały. Usiadłem obok krótkofalówki II HDW im. Czwartaków z Zawiercia.

— Ja Pilot I, ja Pilot I, Pilot II, jak mnie słyszysz? Odbiór!

— Tu Pilot II, tu Pilot II, słyszę cię doskonale. Odbiór!

C. d. na str. 4

HARCERZE W POWSTANIU WARSZAWSKIM

GOŁĘBIARZ w pułapce

MOKOTÓW miał już swoje wytyczone walką granice i szlaki. Główną arterią była ulica Puławska. Przechodzenie przez nią od pierwszych dni jednak zakłócał jakiś wyborowy strzelec, operujący w pojedynkę. Szczególnie prześladował kobiety zmuszone nosić tędy drogocenną w czasie powstania wodę. Działał w ciągu dnia, co nie pozwalało na zlokalizowanie gniazda „gołębiarza". W nocy zdradziłby go błysk spłonki.

Ofiarami jego byli przeważnie cywile. Z czasem ludność zaczęła mieć do nas uzasadniony żal, że nie możemy dać rady jednej lufie. Odcinek ulicy Puławskiej od ulicy Racławickiej do samego Wierzbna wyglądał w ciągu dnia jak wymieciony.

Otrzymałem rozkaz od dowódcy mojej kompanii por. „Judyma", aby wyszukać i zlikwidować „gołębiarza". Łatwiej wydać rozkaz, aniżeli go wykonać, w dodatku gdy w grę wchodzi niewidzialny przeciwnik. Widocznie porucznik zauważył moją minę, bo dorzucił:

C. d. na str. 5

GĄSIOR strażnikiem

Podobno gęsi należą do bardzo mądrych ptaków. W każdym razie tak sądzą uczniowie jednej ze szkół w Hongkongu, kształcącej policjantów. Postanowili bowiem powierzyć gąsiorowi funkcję strażnika przy wejściu do koszar. Pierzasty uczeń przeszedł czterodniowy kurs szkoleniowy i objął „posadę". Rezultat tego eksperymentu był zadziwiający. Gąsior z niezwykłą dokładnością odróżniał „swoich" i nie wpuszczał na teren koszar nikogo postronnego. W dowód wdzięczności policjanci sprawili niezwykłemu strażnikowi specjalny uniform. Ale wtedy gąsior poczuł się widocznie bardzo ważną osobistością, bo przestał wpuszczać na teren koszar również swoich chlebodawców, jeśli przychodzili po wieczornym apelu. (b)

WODA ŻYWIOŁ WCIĄŻ GROŹNY!

Woda — czy to rozlana w szerokie jeziora, ujęta w ramy kanałów, czy też leniwie płynąca rzekami jest groźnym żywiołem, z którym nie ma żartów. **W roku ubiegłym utonęło w naszym kraju 1153 osoby, a w większości była to młodzież i dzieci! W roku bieżącym od stycznia do 16 lipca poniosło śmierć w nurtach rzek, w morzu, w gliniankach i jeziorach 498 osób!**

Za każdą z tych cyfr kryje się wielki dramat. Tym straszniejszy, że tragedii tych można było uniknąć.

Nie chcemy Was straszyć, chcemy po prostu, żebyście się zastanowili, że jeden nierozważny krok kosztować Was może cenę najwyższą. Pamiętajcie: woda — żywioł wciąż groźny!

TRAGEDII MOŻNA BYŁO UNIKNĄĆ...

Dziewczyny siedziały na nadbulwarowych schodkach. W pewnym momencie jedna z nich powiedziała: — Pójdę popływać. Weszła do rzeki. Widziano z brzegu jak wykonała ruch „żabki", jeden, drugi. Przy którymś kolejnym — poszła pod wodę. Znaleziono ją po dwóch dniach pod Żeraniem.

Miał piętnaście lat. Wdrapał się na szalandę, kotwiczącą na kanale. Nie, nie chciał z niej skakać. Niespodziewanie stracił równowagę. Wpadł do wody. Nie umiał pływać.

Przy brzegu było płytko. Biegał więc tam i z powrotem, rozpryskując wodę na boki. W pewnym momencie grunt się urwał pod nogami. Więcej go nie zobaczono.

Przyjechała do Kuźnic z rodzicami na cały miesiąc. W pierwszy upalny dzień położyła się na wodzie na gumowym materacu. Nie wiedziała, że przy pewnym kierunku wiatru fala nieubłaganie znosi na otwarte morze. Kiedy się zorientowała, że do brzegu daleko, że jest na głębokiej wodzie, było już za późno. Zaalarmowane kutry ratownicze znalazły pusty materac.

Rodzice zabrali go z kolonii za pokwitowaniem — na jeden dzień. Stęsknili się za synem, który po raz pierwszy opuścił ich na tak długo. Sami nie znali zbyt dobrze Warszawy, mieszkali przecież w Parczewie. Oczywiście w lipcowe południe najprzyjemniej jest nad Wisłą. Poszli więc tam, gdzie siatki nie zagradzały wejścia na plażę.

Potem stali na brzegu i patrzyli jak ich ukochany syn walczy z wartkim nurtem rzeki. Byli bezradni. Nie umieli pływać. Chłopca wyciągnęła patrolująca ten rejon Wisły łódź milicyjna. Tym razem się udało.

Na widok patrolującej łodzi plażowicze wycofują się na płytszą wodę.

TONĄ PRZEZ... GŁUPOTĘ

Lipiec 1972 rok. Żar leje się z nieba. Redakcyjną „Wołgą" robimy rajd po podwarszawskich stawkach i gliniankach...

● **We Włochach** mokną w wodzie młodzież i dorośli. Nad brzegiem sterczą żelazne drągi, z których zdarto tablice ostrzegające, że kąpiel wzbroniona. Nad gliniankami dwa niestare jeszcze budynki: jeden, w którym ponoć prosperowała przed kilku laty kawiarenka (schodki wiodą wprost do wody, w której tu teraz pełno gruzu i starych gratów) — można było tu również wypożyczać kajaki. Drugi — to po prostu „wygódka". Drzwi wyrwane, brudno.

— Aż dziw bierze, czemu tych glinianek nikt nie zabezpieczy, ale nie chodzi mi o tablice wzbraniające kąpieli, wręcz odwrotnie. Tu właśnie powinien mieć dyżury ratownik!

Adresujemy to do Dzielnicowej Rady Narodowej, Komisji Społeczno-Wychowawczych, a także do Dzielnicowego Komitetu Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej i Turystyki we Włochach.

● **Następnego dnia,** już nie „Wołgą" a motorową łodzią Rzecznego Komisariatu, patrolujemy Wisłę z plutonowym Andrzejem Pyrzakiem. Żar leje się z nieba. Samo południe. Tysiące mieszkańców stolicy obległo plaże. Te strzeżone i te nie strzeżone.

— Ludzie toną głównie przez zwykłą głupotę — przypominam sobie słowa komendanta Rzecznego Komisariatu kpt. Tomaszewskiego. — Nie znają dna a wchodzą do wody. Szczególnie groźna jest Wisła, pełna dołów, wirów, mielizn i przykos. Przykosa — to mielizna z urwanym ostro brzegiem. Za nią jest głębia, której się nikt nie spodziewa. Wchodzą do wody zgrzani, najedzeni...

Milicjanci, ormowcy, a także woprowcy uratowali tego roku w Warszawie i jej okolicach 43 osoby...

Nasza łódź jest biała, plastikowa, a plutonowy zdjął czapkę, więc kąpiący się na dzikich plażach nie uciekają przed nami. Z bliska mogę zrobić zdjęcia. A jest co fotografować. Oto kilkunastoletni młodzian ciągnie na materacu dużo młodszego chłopca. Tuż, tuż głęboka woda. Na brzegu — tej zabawie przygląda się matka malca.

— Przecież tu nie jest głęboko — zbywają nasze uwagi plażowicze. Reagują dopiero wtedy, kiedy plutonowy wkłada czapkę i grozi mandatem.

W tym dniu — a był to dzień 22 lipca — funkcjonariusze MO wyciągnęli z Wisły dwie niefortunne pływaczki. Jedna z nich miała lat dwadzieścia trzy, druga — dwanaście.

Tekst i zdjęcia:
WIESŁAWA MROCZEK

I TY MOŻESZ ZOSTAĆ CZŁONKIEM WOPR

Jeżeli chcesz pracować społecznie na wodzie — ratując zagrożone życie ludzkie — wstąp do WODNEGO OCHOTNICZEGO POGOTOWIA RATUNKOWEGO.

Członkiem WOPR możesz zostać jeżeli: ukończyłeś 14 lat i posiadasz zezwolenie rodziców oraz szkoły.

Zapisy do drużyn WOPR przyjmują Powiatowe, Miejskie oraz Wojewódzkie Zarządy WOPR, o których bliższych informacji udzielą Ci Komendy Miejskie, Powiatowe i Wojewódzkie MO.

Członkowie drużyn WOPR korzystają z bezpłatnego udziału w szkoleniu, mają również bezpłatny wstęp na zamknięte kąpieliska w rejonie zamieszkania.

WOPR skupia w swoich szeregach ponad 20 tysięcy członków i jest ważną społeczną instytucją walczącą o bezpieczeństwo na wodzie.

Glinianki we Włochach.

Z WODĄ NIE MA ŻARTÓW!

● **Nie wchodź do wody zgrzany i zmęczony.**

● **Nie wchodź do wody bezpośrednio po jedzeniu.**

● **Nie wchodź do wody po niedawno przebytych chorobach, takich jak grypa czy angina.**

● **Przed rozpoczęciem nauki pływania udaj się do lekarza na badania.**

● **Ucz się pływać tylko w wyznaczonym, bądź dokładnie zbadanym miejscu.**

● **Nie wskakuj do wody, której nie znasz.**

● **Nie przebywaj zbyt długo w wodzie o niskiej temperaturze.**

● **Nie podpływaj do zakotwiczonych lub przepływających statków, barek, tratw, łodzi itp.**

● **Nie kąp się i nie pływaj samotnie.**

● **Unikaj lekkomyślnych żartów, potrącania, wrzucania się nawzajem do wody, wpychania na głębinę — taka zabawa może zakończyć się nieszczęściem.**

Plutonowy Andrzej Pyrzak w Komisariacie Rzecznym pracuje 5 lat. To właśnie z nim patrolowaliśmy Wisłę w dniu 22 lipca

KAPITAN DĄBROWA ZAPRASZA DZIŚ NA

ŁOWY leśnych LUDZI

Dzisiejsza nasza wyprawa będzie miała charakter naukowy, a ściślej powiedziawszy — prawie naukowy. W końcu do prowadzenia prawdziwych badań nie mamy warunków, niemniej dla chcącego nie ma nic trudnego — jak mówi stare mądre przysłowie. A więc nie zwalając winy na obiektywne trudności, zabierzmy się do dzieła.

ZADANIE PIERWSZE

Łowy na grubego zwierza

Naturalnie będą to łowy bezkrwawe. Gdzie je urządzić? Najlepiej w lesie. Bardzo dobrze byłoby poprosić o pomoc w ich zorganizowaniu pana leśniczego. On po pierwsze najlepiej Wam poradzi jak to zrobić, a po drugie wskaże najwłaściwsze miejsce na łowy.

Do wyprawy tej trzeba będzie solidnie się przygotować. Musicie bowiem zbudować stanowisko, z którego będziecie prowadzić obserwacje. Fachowcy stanowisko takie nazywają amboną. Może to być coś takiego, jak na załączonym rysunku. Uwaga! „Gniazdko" powinno być na tyle obszerne, aby mogły zmieścić się w nim dwie osoby. Ponadto „gniazdo" musi być doskonale zamaskowane, tak aby nikt nie mógł domyślić się, iż znajdują się w nim „myśliwi". Na naszym rysunku, ze względu na czytelność, nie zamaskowaliśmy stanowiska, ale Wy zróbcie to koniecznie.

Na bezkrwawe łowy zabieramy ze sobą: aparat fotograficzny, naturalnie jeśli posiadacie taki sprzęt, lornetkę, szkicownik lub zeszyt do rysowania i robienia notatek. Trzeba również zaopatrzyć się w suchy prowiant na wypadek, gdyby łowy trochę się przeciągnęły.

A teraz zapamiętajcie najważniejszą zasadę bezkrwawych łowów. W czasie prowadzenia obserwacji musicie zachowywać się **absolutnie cicho**. Gadanie lub wiercenie się w „gnieździe" spłoszy zwierzynę i z łowów wyjdą nici. Większość zwierząt bowiem ma doskonały słuch i każdy podejrzany szmer je płoszy.

Co będziecie „łowić"? Co tylko się da, co tylko pojawi się w polu Waszego widzenia, będzie cennym trofeum. Jeżeli z łowów tych przyślecie mi zdjęcie „upolowanych" zwierząt lub rysunki czy choćby opisy — będę bardzo zadowolony. Najciekawsze wyniki bezkrwawych łowów zamieszczę w „Świecie Młodych". A jeżeli ponadto opiszecie mi dokładnie wszystkie przeżycia i przygody związane z łowami na „grubego zwierza" lub opowieści pana leśniczego o zwierzętach — będę skakał z radości!

ZADANIE DRUGIE

Co dzieje się na jednym metrze kwadratowym ziemi?

Dla tych, którzy w żaden sposób nie mogą wziąć udziału w łowach na grubego zwierza, proponuję również ciekawą wyprawę o charakterze naukowym. Tę wyprawę można zorganizować dosłownie wszędzie — na polu, na łące, w ogródku itp. Wyznaczamy najpierw palikami teren obserwacji. Będzie to mały skrawek ziemi w kształcie kwadratu o boku długości 1 metra. Co, że za mały? Nie martwcie się. Zaręczam Wam, że na tym jednym metrze kwadratowym odkryjecie bogaty świat istot żywych. Do naszych obserwacji przydałaby się lupa lub jakiekolwiek szkło powiększające. Jeśli jednak nie będziecie mieli lupy, muszą wystarczyć własne oczy.

Pierwszy etap badań będzie polegał na obserwacji tego wszystkiego, co się znajduje na powierzchni ziemi. Oczywiście róbcie przy tym notatki, a jeśli ktoś ma dar do rysowania, to również i rysunki. Uwaga: liczcie także ilość zaobserwowanych żyjątek tego samego gatunku, np. mrówek było 29.

W drugim etapie badań zajmiemy się obserwacją podziemnego życia. W tym celu trzeba będzie ostrożnie przekopywać ziemię motyką lub saperką i przejrzeć każdą grudkę. I znowu zanotujecie skrupulatnie wszystkie spostrzeżenia nie tylko co do różnorodności odkrytych stworzeń, ale i ich ilości.

Czekam więc z niecierpliwością na Wasze meldunki z badań jednego metra kwadratowego ziemi.

KAPITAN DĄBROWA

WAŻNE DLA WSZYSTKICH UCZESTNIKÓW LLL

Moi Drodzy, czuję się w stosunku do Was trochę winny. Wysyłam Was w tzw. teren, a nie pomyślałem, co by się stało, gdyby ktoś z Was zabłądził w lesie. Spieszę więc naprawić swoje zaniedbanie przekazując kilka praktycznych rad, które jeśli nie teraz, to może przydadzą się w przyszłości.

Jak orientować się w kierunkach świata w dzień?

Oczywiście niezawodnym urządzeniem jest w tym wypadku kompas. Czarny, namagnesowany koniec igły wskaże północny biegun magnetyczny Ziemi, który niewiele jest odchylony od bieguna geograficznego.

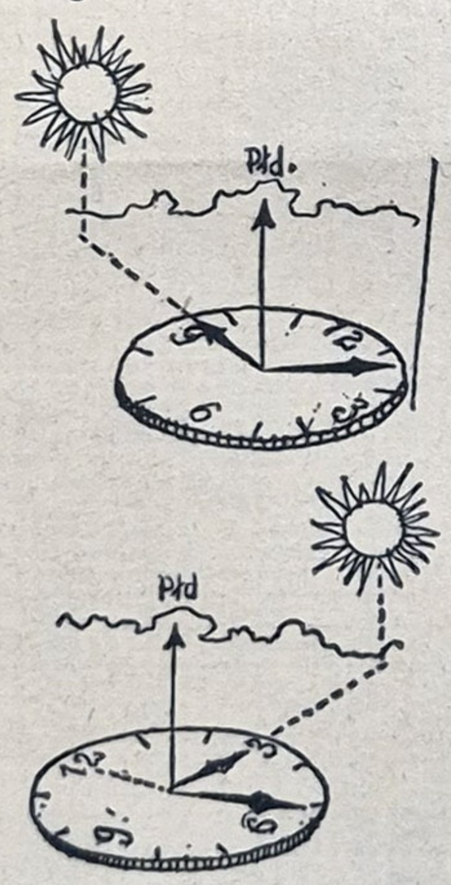

A jeśli nie mamy kompasu? W dzień słoneczny kierunki świata można wyznaczyć przy pomocy ręcznego zegarka. Spójrzcie na rysunki. Zegarek kładziemy poziomo tak, aby mała wskazówka wycelowana była prosto w słońce. W dokładnym skierowaniu jej na słońce pomoże Wam zapałka, którą ustawiamy pionowo w samym środku tarczy zegarka. Jeśli cień zapałki będzie tworzył z małą wskazówką linię prostą, będzie to znaczyć, że zegarek ustawiony jest dobrze. A teraz kąt, jaki tworzy mała wskazówka z godziną 12, podziel na połowę kąt, który mała wskazówka ma przebyć do godziny dwunastej (np. o godz. 9 kąt między godziną 9 i 12), zaś po południu — kąt, który mała wskazówka przebyła już od godziny 12 do 3.

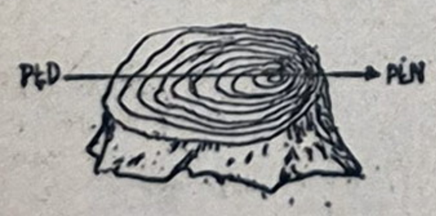

Istnieją jeszcze inne mniej pewne sposoby określania kierunku, np. mech obrasta kamienie i drzewa (wolnostojące) zwykle po stronie północnej. Konary i większe gałęzie drzew rosnących w odosobnieniu są bardziej rozrośnięte od strony południowej. Słoje drzewa widoczne na ściętym pniu są szersze od południa, a węższe od północy.

Orientacja w nocy

Niezawodnym drogowskazem w nocy są gwiazdy, a szczególnie jedna — Gwiazda Polarna. Właśnie tylko Gwiazda Polarna nie bierze udziału w ruchu obrotowym całego nieba, ponieważ leży na przedłużeniu osi biegunowej Ziemi. Świeci więc zawsze w tym samym miejscu na niebie wskazując kierunek północny. Jak ją odnaleźć wśród tysięcy innych gwiazd? Musimy najpierw odszukać gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy, zwany także Wielkim Wozem. Otóż odległość między tylnymi „kołami" Wielkiego Wozu przedłużcie pięciokrotnie wzdłuż linii prostej, a natraficie na Gwiazdę Polarną (patrz rysunek). Jest ona ostatnią gwiazdą w „dyszlu" Małego Wozu (Małej Niedźwiedzicy).

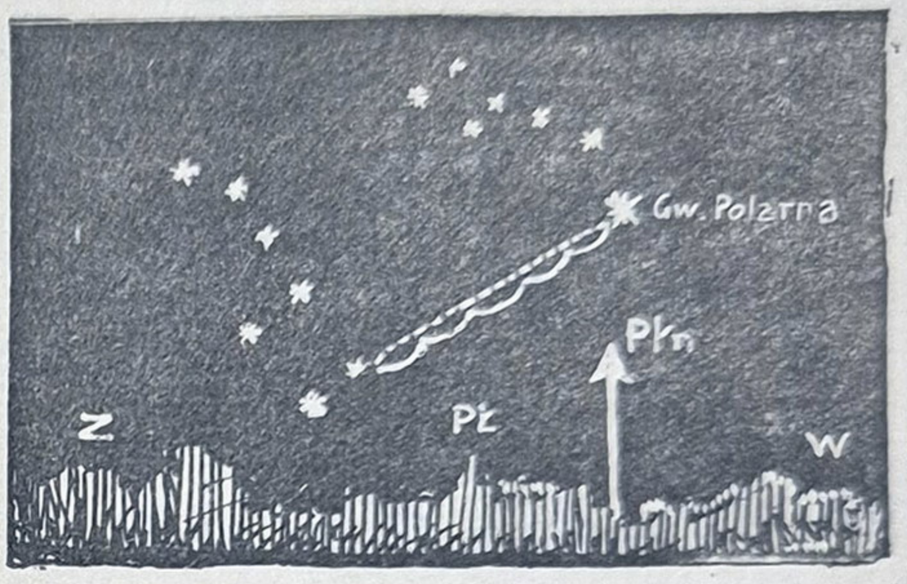

A jeśli zabłądzicie?

I tak przecież może się zdarzyć, szczególnie w lesie. Jak wtedy należy się zachować? Oto kilka rad, moim zdaniem najlepszych, jeśli w ogóle można mówić o radach w takiej sytuacji.

A więc po **pierwsze:** usiądźcie i odpocznijcie. Starajcie się uspokoić. Podejmowanie jakiegokolwiek przedsięwzięcia w zdenerwowaniu nigdy nie prowadzi do celu. Po **drugie:** rozważcie spokojnie, skąd przyszliście i jaki macie kierunek marszu. Następnie ustalcie swoje położenie w stosunku do stron świata. **Po trzecie:** gdy już ustalicie dalszy kierunek marszu, trzymajcie się tego kierunku. Nie zbaczajcie z niego ani w prawo, ani w lewo. To właśnie zbaczanie z kierunku, maszerowanie „na skróty", powoduje błądzenie. **Po czwarte:** kierunek swego marszu kontrolujcie co pewien czas. Jest na to kilka sposobów, np. celowanie na jakieś wyróżniające się drzewo. **Po piąte:** jeśli w zupełnie pustej okolicy napotkacie w lesie potok czy strumyk — idźcie w kierunku jego biegu. Wtedy, prędzej czy później, zawsze natraficie na osiedla ludzkie.

Na zakończenie zapamiętajcie mądrą maksymę: **nie ma takiej sytuacji, z której nie byłoby wyjścia.** I tym optymistycznym akcentem żegnam się z Wami do następnego spotkania.

KAPITAN DĄBROWA

Ten znaczek wytnij i wklej do NOTATNIKA

C. d. ze str. 1

ZMAGANIA w promieniach SŁOŃCA

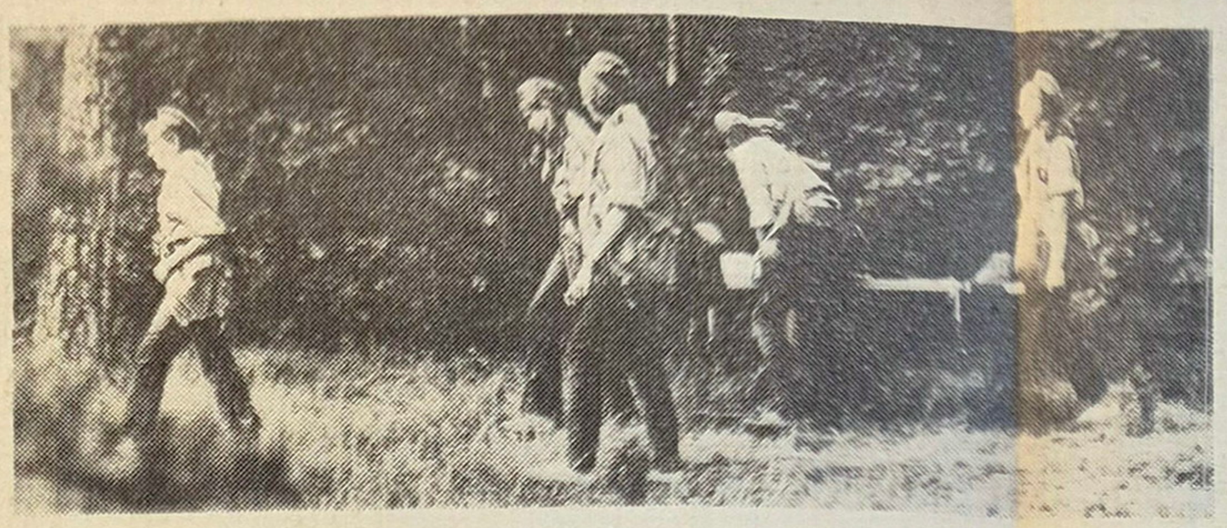

— Mam dla ciebie pilny telegram. Nadaję.

I płyną słowa depeszy. Sprawnie obsługiwana radiostacja nie zawodzi. Kilka minut i zadanie wykonane. Bogdan Korczyński, Edek Kałużny i Roman Chmielewski mają zadowolone miny. Punktów karnych nie będzie. Trzeba teraz nadać jeszcze kilka regulaminowych grup literowych. Chłopcy pracują spokojnie; wiadomo — radziści. Od nich zależy bardzo wiele. Szybko nadane meldunki do sztabu manewrów i przyjęcie rozkazów to połowa sukcesu. Na nich więc liczy cały zespół.

Próbuję grać cwaniaka

Kilka kilometrów dalej trwają zmagania „chemików". W gęstym dymie widzę tajemnicze postacie. To „Czerwone Berety" badają teren skażenia. Ochronna odzież, maski upodobniają ich do przybyszów z kosmosu. Kajtek robi zdjęcie, dym wyciska nam łzy, powoduje kaszel. Nie wytrzymuję; odbiegam od skażonego miejsca.

Dziewczęta z patrolu 330 WDH przy Liceum Księgarskim w Warszawie tłumaczą mi, na czym polega ich konkurencja. Abym lepiej zrozumiał, proponują mi „zabawę" w prawdziwego chemika. Tylko z czego się śmieją? Po chwili wiedziałem — nagrzany słońcem kombinezon parzy niemiłosiernie, maska przeciwgazowa sprawia, że się duszę, grube rękawice paraliżują ruchy. Próbuję grać cwaniaka, wykryć rodzaj zatrucia. Niestety. Prawie ugotowany, staję ponownie przed dziewczynami i dowiaduję się, że zostałem zdyskwalifikowany. Pokazały mi wprawdzie jeszcze raz co i jak trzeba robić, ale na nic to się nie zdało. Mogłem jedynie podziwiać sprawność chemiczek, łatwość w obsługiwaniu przyrządów pomiarowych, doskonałą znajomość swojej specjalizacji.

*

Podobnie byłem zachwycony wynikami sekcji strzelców, judoków, ratowników wodnych, strażaków, sanitariuszy. Nic dziwnego — tu w Spale spotkali się przecież najlepsi z najlepszych, zwycięzcy wielu eliminacji.

Wielka gra

Poprzednie zawody były tylko małym preludium tego, co nastąpiło po alarmie. Dziwny to był alarm, ogłoszony w nietypowym czasie — o godz. 18-tej. Nikt się niczego nie spodziewał o tak wczesnej porze. Rozkazy dotarły do wszystkich obozów jednocześnie z poleceniem natychmiastowego zameldowania się na punkcie „X", z pełnym wyposażeniem. Tu każda drużyna otrzymała mapy i zalakowane koperty z zadaniami. Okazało się, że ma to być alarm dobowy!

Razem z Kajtkiem doganiamy zespół Zielonej Góry — zwycięzców poprzednich CMTO. Chcielibyśmy zobaczyć jak drużyna poradzi sobie teraz. Okazało się, że wszystko idzie zgodnie z planem. Nocny obóz rozłożono w punkcie „Y", radiostacja nadała meldunek do sztabu o wykonaniu pierwszego polecenia.

Rano, o godz. 6, Zielona Góra ponownie łączy się ze sztabem i otwiera następną kopertę z zadaniami. Natychmiast udajemy się na trasę. Zastajemy ich w gęstym lesie. Upał nie do zniesienia, wszyscy są głodni. Ostatnim posiłkiem był wczorajszy obiad...

Oto jakie zadania wykonywał zespół z Zielonej Góry: najpierw należało odnaleźć „plamę chemiczną", a także dywersanta, którego tu gdzieś w pobliżu wyrzucił samolot. Skoczek został odkryty — zdradził go źle ukryty spadochron. Schwytany nie stawiał oporu, oddał „broń". Po pewnym czasie odnaleziono też „plamę". Druhowie zaznaczają skażony teren, nanoszą go na mapę. W wiosce „Z" nawiązują ponownie kontakt ze sztabem i dowiadują się, że obok miejscowego basenu przeciwpożarowego drużyna strażacka będzie miała próbne gaszenie pożaru. Szóstka zuchów w srebrnych hełmach szybko uporała się z pozorowanym pożarem, a w międzyczasie druhny spod znaku Czerwonego Krzyża kupiły od rolników coś do jedzenia. Zmęczeni do granic wytrzymałości, pałaszują pajdy wspaniałego wiejskiego chleba, popijają studzienną wodą i ponownie wyruszają na trasę.

I znowu las, nowe zadania. Warkot samolotu przerywa studiowanie mapy. Komendant rzuca krótki rozkaz.

— Lotnik, kryj się!

Wszyscy padają pod krzaki, chowają się za drzewa; byle dalej od widocznych z krążącego nad nimi samolotu miejsc. Alarm odwołany. Nowa przeszkoda. Strumień szerokości 5 metrów nie daje się przeskoczyć z pełnym wyposażeniem indywidualnym, radiostacją. Ekipa saperów buduje szybko most ze starych pniaków drzew połączonych linami. Przeprawa udała się znakomicie. „Rozjemca" — przedstawiciel jury sztabu — uśmiecha się zadowolony. Jak dotąd nie ma powodu korygowania błędów, notowania punktów karnych. Jest dobrze. Ale do mety pozostało 5 kilometrów...

Jak się później okazało, zespół Zielonej Góry zajął pierwsze miejsce. Gratulujemy.

Za naszym pośrednictwem wszyscy uczestnicy III CMTO składają serdeczne podziękowania organizatorom manewrów: GK ZHP oraz oficerom i szeregowcom Wojska Polskiego, straży pożarnej, za wspaniałe przeprowadzenie imprezy i niezapomniane wrażenia.

Z. PRZYBYŁOWSKI
Fot: K. Adamowski

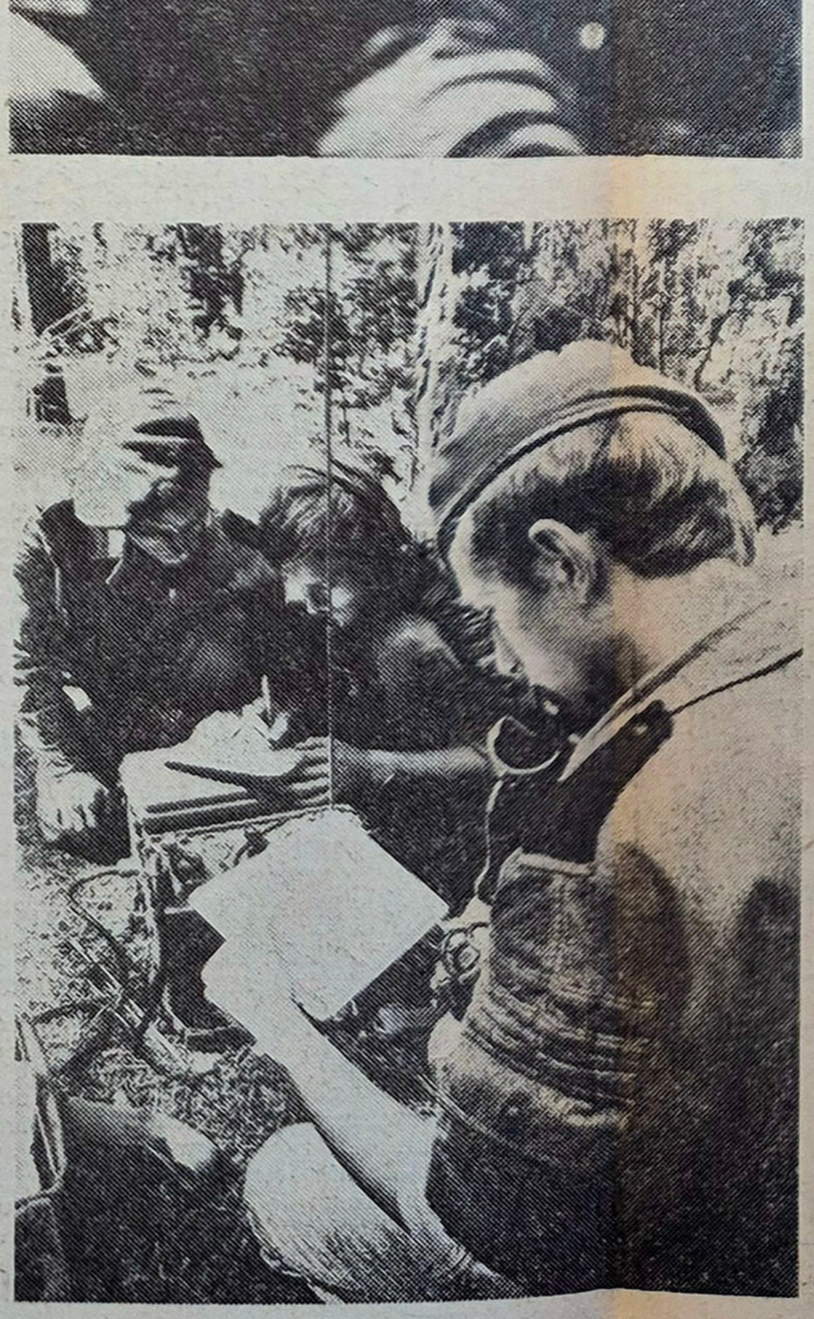

— Tu gdzieś powinien być ukryty dywersant. Najpierw przeszukamy kwadrat „A" — naradza się szpica patrolu zwycięskiego oddziału Chorągwi ZHP z Zielonej Góry.

WYNIKI drużynowe III CMTO

1. Zielona Góra — 863,11 pkt.; 2. Kraków — 846,38; 3. Łódź-miasto — 844,53; 4. Białystok — 842,60; 5. Kielce — 817,08; 6. Bydgoszcz — 816,19; 7. Poznań — 794,45; 8. Łódź-woj. — 794,45; 9. Katowice — 789,99; 10. Warszawa-woj. — 778,84; 11. Lublin — 774,84; 12. Olsztyn — 770,45; 13. Rzeszów — 760,57; 14. Wrocław — 757,62; 15. Gdańsk — 746,07; 16. Warszawa - miasto — 745,43; 17. Opole — 733,31; 18. Koszalin — 705,20; 19. Szczecin — 604,09.

»GOŁĘBIARZ« w natarcie

HARCERZE w POWSTANIU WARSZAWSKIM

C. d. ze str. 1

— Stary mokotowiak, jak wy, znacie wszystkie zakamarki. No, a poza tym jako doświadczony harcerz znacie się na zwiadach i podchodach. Czuwaj! — powiedział uznając rzecz za załatwioną.

Cóż było robić? W kompanii był jeszcze jeden młodziutki zuch — „Jontek", również jak ja z Mokotowa.

Zaczęliśmy obaj węszyć „skąd ten brunatny diabeł mógł strzelać"?

W grę wchodziła albo narożna sześciopiętrowa kamienica stojąca przy ul. Racławickiej, albo wieża przy kościele św. Michała.

Okna kamienicy wychodziły na Puławską, skąd rozpościerał się widok na dalsze partie Mokotowa w kierunku Wierzbna, gdzie właśnie tak wiele było ofiar tego snajpera.

Wyeliminowaliśmy najpierw dom. Rozmowy przeprowadzone zarówno z dozorcą, jak i lokatorami dawały rękojmię, że tu go nie ma. Dla pewności przepenetrowaliśmy cal po calu olbrzymi strych. Niestety... ani gniazdka, ani „gołębiarza", ni słychu ni widu.

Pozostała wieża przy kościele św. Michała. Trzeba było dwu nocy obserwacji, by się utwierdzić w przekonaniu, iż jakiś szkop, trzeba przyznać — odważny, usadowił się na samej górze, skąd miał doskonały widok na cztery strony walczącego Mokotowa.

Należało go teraz zlikwidować... I tu „Jontek" wpadł na kapitalny pomysł.

— Wykurzę go jak pszczołę z ula.

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Tak, wykurzę go — powtórzył z mocą. — Zejdzie sam i będziemy mieli żywego „gołąbka" lekko podsmażonego na rożnie.

— Czym i jak to zrobisz?

— Spokojna głowa! Zuchowa baśka pracuje! — wymownym gestem pokazał na swoją blond czuprynę. — Od czego są chemicy na ulicy Racławickiej?

Rzeczywiście, jak mi to mogło nie przyjść do głowy. Przecież w zdobytym „Motorze" łupem powstańców padło nie tylko ileś tam litrów najczystszego spirytusu, ale i inne paskudztwa używane do różnych wyrobów.

„Jontek" dotrzymał słowa. Wszedł w porozumienie z personelem „Motoru" i w ciągu kilku godzin zjawił się w naszej skrytce z pokaźnych rozmiarów woreczkiem, pełnym jakiegoś proszku, przetykanego celuloidem.

Miało to, według zapewnień sporządzających tę mieszankę, dać po zapaleniu zapach zmuszający wąchającego do kichania i serdecznego płaczu.

„No, płakać to ty będziesz jak na swoim pogrzebie" — myślałem sobie, wyczekując zmierzchu.

Wieczór. Nasze owinięte szmatami buty nie sprawiają hałasu, gdy zbliżamy się do drzwi dzwonnicy. Są otwarte... Brrr! Pierwsza rzecz to trumna... Dla pewności lekko uchylam wieko; na szczęście jest pusta.

„Jontek" wyciąga spreparowany przez „motorowców" lont. Błysk zapałki i... „To" się nie pali, „to" się kopci. A zapach? Koncentrat szaletów całej Warszawy, dawno nie wybieranych i solidnie zakwaszonych.

Gęsty dymek, pomaleńku unosi się w górę, niedługo dosięgnie...

— Maks, was machst du? [1]) To odzywa się „gołąbeczek" siedzący na razie jeszcze w dość dużej odległości od wolno zbliżającej się gęstej chmury.

A więc ma wspólnika. Szybko wobec tego zamykamy drzwi, podpierając je leżącym drągiem. Przez szpary zaczyna dobywać się dymek i muszę kichnąć. Odpowiada mi kichnięciem snajper uwięziony na górze w dzwonnicy.

— Maks! Verfluchter Donnerwetter! Maks! Was ist das? [2])

Kicha coraz częściej i głośniej. Przypuszczam, że jest już dostatecznie wystraszony i gotowy do pertraktacji.

— Absteigen! Aber schnell! Und ohne Gewehr! [3]

Trzymamy swoją broń w pogotowiu i patrzymy w otwarte przez nas drzwi, skąd bucha ciężki dym niosący niesamowity fetorek. W pewnym momencie zjawia się on, nasz, jak „Jontek" mówił, „lekko uwędzony gołąbek". Jest to olbrzymie chłopisko, gębę i oczy ma przewiązane chusteczkami, zatacza się tak, że musimy przytrzymać go, by nie upadł. Łapczywie łapie powietrze, ciężko pracuje płucami. Łzy wielkości grochu spływają po jego nieogolonej gębie.

„Jontek" gasi już niepotrzebną „wytwórnię zapachów" i mamy jeszcze trochę czasu na wstępną rozmówkę z naszym „łupem".

Ściągnięta kurtka i koszula oraz wytatuowany pod pachą znaczek świadczą, że mamy do czynienia ze „szlachetnie" urodzonym übermenschem spod znaku SS. „Jontek" odprowadza go na kwaterę porucznika „Judyma", natomiast ja zostaję na miejscu. Mam plan, do którego znów potrzebuję „Jontka". Ten zapewne niedługo wróci. Gdy wreszcie „Jontek" się zjawia, wyjaśniam mu, że tu spędzimy resztę nocy. Być może znajdzie się ów Maks wspólnik naszego delikwenta.

Wtedy „Jontek" wpada na pomysł... W sąsiedniej kamienicy przy ulicy Puławskiej 95 znajduje się firmą Zielińskiego, warsztat i sklep z trumnami.

Taszczymy z „Jontkiem" najbardziej „twarzową" i ustawiamy w kostnicy obok poprzedniej „sieroty".

— We dwójkę i trumnom weselej — śmiejąc się powiada „Jontek".

Zgodnie z jego planem dekujemy się do sosnowych „jednorodzinnych domków" i spozierając w szpary utworzone przez lekko uniesione wieka, czekamy na Maksa.

Czas się dłuży...

Wreszcie cicho stąpając zjawia się... najbardziej oryginalny powstaniec mokotowski z biało-czerwoną opaską i „Stenem". Rozgląda się po kostnicy i najwyraźniej słychać wypowiedziane szeptem po niemiecku słowa:

— Herr Hauptsturmführer!

— Tu cię mamy, hitlerowskie nasienie...

Dostojnie i pomaleńku podnoszą się wieka dwu trumien, w których ukazują się dwa powstańcze „truposze"... Z ust ich wystają olbrzymie kły, przemyślnie wykonane przez „Jontka" z poczciwych polskich ziemniaków.

— Herr Jes...

Tylko tyle usłyszeliśmy z ust „bohaterskiego" przebierańca. Resztę zdławił strach, toteż nie mieliśmy z nim wiele kłopotu.

Łup był dość obfity, „gołąbek" widocznie miał dobry apetyt, a jego pomocnik sumiennie przygotowywał posiłki. Czekolada, jakieś wykwintne sucharki, skondensowane mleko, ponadto nasze przedwojenne „Egipskie" i pachnące „Mewy", oraz rarytas-butelka oryginalnego „Martela".

Przebieraniec pod pachą miał również ozdobny znaczek „pana z panów", był tylko niższy stopniem.

Niezmiernie zadowolony porucznik „Judym" krótko skwitował „gołębiarską" akcję:

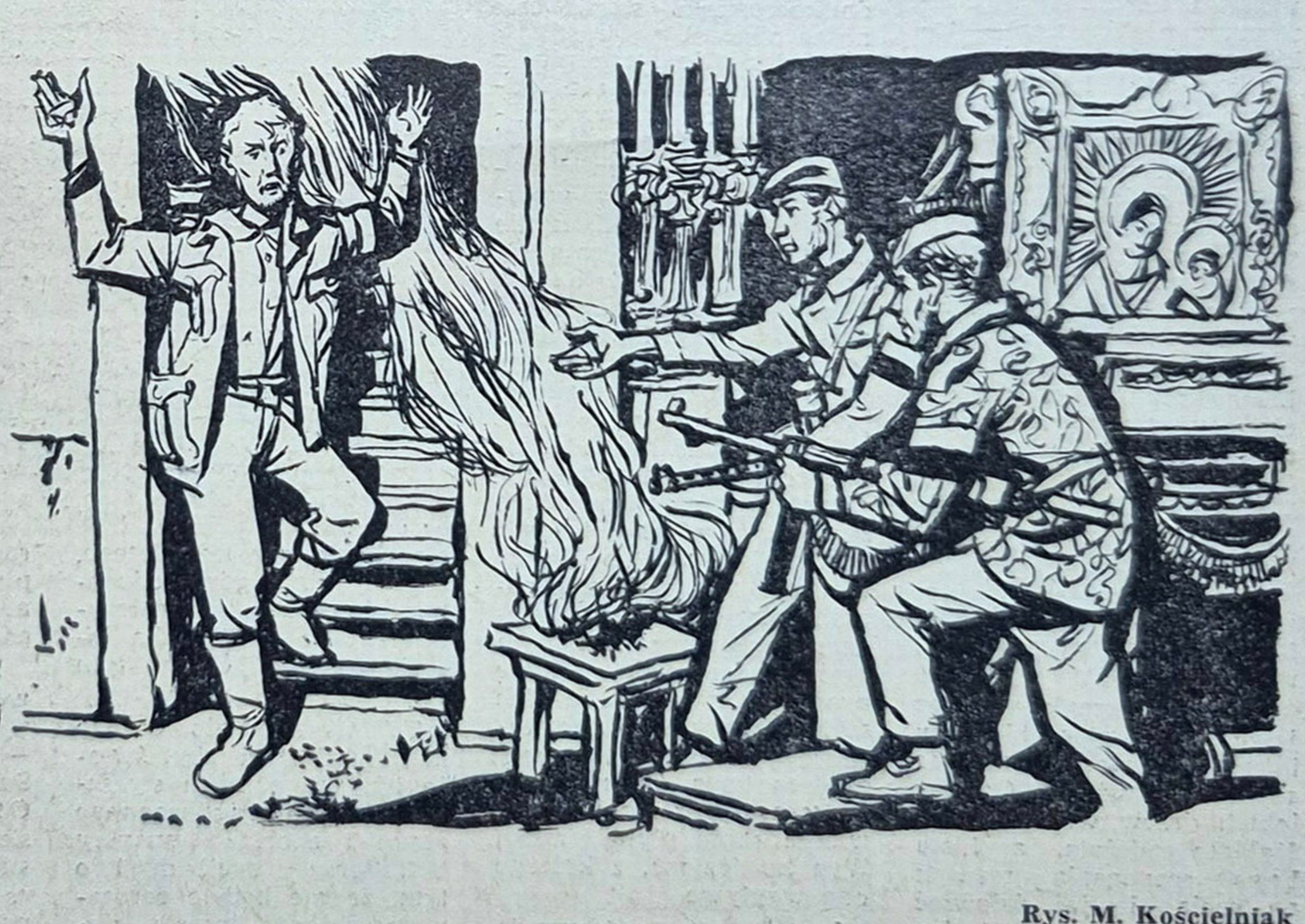

Rys. M. Kościelniak

— Harcerski dublet... Czuwaj! — dokończył.

Natomiast mokotowska ulica, obok dzielnicowego powstańczego marsza śpiewała:

Siekiera, motyka, SS szmajser
Wszystko frajer, gdy jest harcerz,
Siekierka, trumienka, smrodu kupa
Harcerz zrobił z SS — trupa.

TEODOR NIEWIADOMSKI

1) Maks, co robisz?
2) Maks! Do pioruna! Maks! Co jest?
3) Złaź! Tylko szybko! I bez broni!

Lok czarownik plemienia

A. M. LINIEWSKI — Tłum. J. Stykowski — 7)

Jeśli wierzysz, że jest żywa — powiedział cicho Lok — to zaraz przytulisz ją do piersi.

— Wierzę, wierzę, wierzę! — zakrzyknęła nieszczęśliwa matka. — Wierzę, że moja córka jest żywa!

Lok westchnął z ulgą.

— Kobiety! — powiedział po chwili — Jeśli ja nie znajdę dziecka żywego, niech spadnie na mnie śmierć! Ale jeśli dziewczynka jest żywa, niech zginie Lisia Łapa, która nas oszukała.

— Niech tak się stanie! — krzyknęły zgodnie kobiety.

Ich głos był wyrokiem całego koczowiska. Od tej chwili na zgubę zostali skazani Lok albo Lisia Łapa.

Aby pokazać, że jego duchy są silniejsze, młody czarownik zaczął odprawiać swoje obrzędy. Wyciągnąwszy zza pazuchy czapkę ze skóry rysia, założył ją i zaczął tańczyć wokół Lisiej Łapy. Czarownica zlękła się — takiego tańca nie znała.

Czarownik kazał jej i matce dziewczynki usiąść do czółna, wydłubanego z pnia drzewa. Kierował czółnem najpierw po rzece, potem skręcił w odnogę. Wreszcie łódź przybiła do wyspy. We troje wyszli na brzeg. Lok kazał matce wołać dziewczynkę.

Ale nikt się nie odezwał. Matka powtórzyła swój cichy zew, ale znów nie było odpowiedzi. Wyblakłe oczy Lisiej Łapy ożywiły się. Wyprostowała się, na ile pozwalał jej zgięty grzbiet i coś szeptała.

— Krzycz głośniej! — rozkazał kobiecie Lok. — Moje duchy wołać będą razem z tobą.

Matka zakrzyknęła raz jeszcze. Jej głos, błagalny i rozpaczliwy, dosłownie zawisł nad wyspą. Od dalekich drzew wróciło echo. Kobieta zadrżała, a Lisia Łapa rozwiązała rzemyk na czole i jej dziewięć warkoczyków, postukując amuletami, upadło na plecy.

— Słyszysz? — uroczyście spytała Loka. — Duchy lasu naśmiewają się z twoich duchów.

Ale Lok wskoczył na porosły mchem kamień i krzyknął:

— Chodź do nas! Twoja matka cię woła!

I oto z głębi wyspy rozległ się ledwie dosłyszalny głosik. Potem w dali poruszyły się krzewy i ukazała się Sroka.

— Córka! Moja Sroka! — kobieta rzuciła się ku dziecku.

Ujrzawszy dziewczynkę, Lisia Łapa zachwiała się.

— Okłamałaś nas! — krzyknęła do niej szczęśliwa matka. — Czy to nie ty mówiłaś, że moja córka zginęła? A więc twoja siła opuściła cię już!

Lok posadził matkę i dziecko w czółnie, wskoczył sam i odepchnął dłubankę. Czarownica została na wyspie. U koczowiska tłum kobiet czekał na zakończenie sporu między Lisią Łapą i młodym czarownikiem.

Lok wyskoczył z łodzi z dzieckiem na rękach. Podniósłszy wysoko dziewczynkę, przemówił głośno:

— Okłamała nas. Powiedziała, że dziecko umarło. Za to została na wyspie. Moje duchy powiedziały: jeśli opuści wyspę i wróci do koczowiska, zginie całe nasze plemię!

Wiedział, że teraz nikt z współplemieńców nie odważy się pomóc czarownicy.

Od niepamiętnych czasów każdej wiosny wpływają do zatoki olbrzymie ławice śledzi. Zbierają się najpierw gdzieś daleko w Oceanie Lodowatym i przepłynąwszy Morze Białe płyną dalej wiele dni, by wreszcie odbyć tarło na przybrzeżnych płyciznach.

Na tej całej długiej drodze za ławicą nieodstępnie ciągnie mnóstwo morskich ssaków, ptaków i ryb. Wpływając w głąb ławicy morsy i foki pożerają poruszające się powoli śledzie. Z głębin za łakomym kąskiem płyną ku górze drapieżne ryby, wśród nich szybkie łososie, odprowadzające ławicę do samego miejsca tarła. Tu najedzone łososie pozostawiają ławicę i same płyną rzeką Wyg ku jezioru, z którego ona wypływa.

Łososi nie zatrzymuje nawet groźny wodospad Szojrukszi. Ściśnięta tu w wąskim gardle woda kipi i ryczy, rozbijając się o skały latem i zimą.

Dla mieszkańców koczowiska wędrówka łososi była ważnym wydarzeniem. Odłów łososia jest łatwy, a korzyść z niego wielka. Umiejętnie ususzonym mięsem tych ryb żywiono się jeszcze długo w zimie; świeże natomiast, tłuste i różowe, stanowiło ulubiony smakołyk.

Oto dlaczego co roku z niecierpliwością oczekiwano łososiowej wędrówki. Jeszcze długo przed ukazaniem się w rzece pierwszych ryb, na Świętą Skałę wychodziły czarownice, by zaklęciami przyzywać łososie. Ale to święte miejsce zostało znieważone przez Loka, a Lisia Łapa zginęła. Jej następczyni, wybrana spośród staruch, nie miała ani sprytu, ani mądrości swej poprzedniczki. Czy dlatego, że chciała pomścić śmierć Lika. Zobaczył zbliżającego się Krzemienia, naczelnika myśliwych. On też zląkł się, usłyszawszy słowa najstarszej czarownicy. Kiedy indziej nie słuchałby nawet bzdurnej babskiej gadaniny, ale połów łososia był zbyt ważny dla plemienia.

Krzemień podszedł do Loka i posępnie patrząc mu w twarz powiedział:

— Najstarsza czarownica mówi, że przez ciebie nie będzie w tym roku łososia. Co ty na to?

— Najstarsza czarownica straciła rozum. Łosoś przyjdzie, jak przychodzi każdej wiosny.

Zaczęły ich otaczać kobiety. Podeszła też najstarsza czarownica.

— On łże! — krzyknęła. — Łososie boją się garbatego Roko na Świętej Skale. Leśny zwierz słucha się Przyjaciela Myśliwych, ale ryby go się boją!

Kobiety zaczęły zawodzić, a Krzemień sposępniał jeszcze bardziej; może starucha mówi prawdę, przecież droga łososi wiedzie koło skały.

— Moje duchy, to wierni przyjaciele naszego koczowiska — powiedział uroczyście Lok. — Nie dopuszczą nieszczęścia, które nam chcą zesłać duchy najstarszej czarownicy.

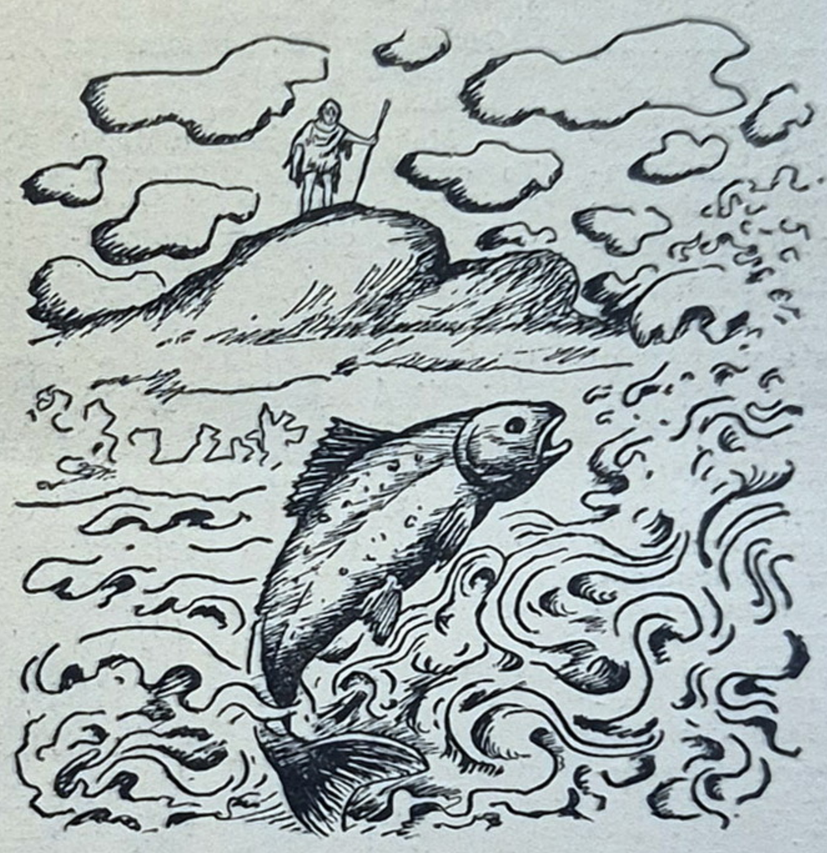

siej Łapy, czy też dlatego, że nie miała gdzie odprawić obrzędu — oświadczyła, iż to z winy Loka łososie nie przyjdą w tym roku do rzeki.

To przestraszyło bardzo kobiety. Jeszcze zbyt świeże były w pamięci straszne dni przedwiosennego głodu i chociaż wszyscy byli teraz syci, myśl o tym, że nie będzie corocznego połowu łososia, doprowadziła ludzi do rozpaczy. Wydawało im się, że głód znów skrada się ku ich ziemiankom.

— Czym będziemy karmić nasze dzieci?! — krzyczały kobiety. — Zginiemy przez czarownika! Biada nam!

Wracając z lasu do ziemianki Lok usłyszał szmer głosów, niosących się z daleka. Kilka dni w koczowisku wrzało. Myśliwi bardziej wierzyli Lokowi, kobiety — najstarszej czarownicy. Sporom nie było końca. Oczekującym czas wlecze się powoli; wkrótce wszystkim zaczęło się zdawać, że pora łowienia łososia nadeszła, a łososi wciąż nie widać... Czarownica chodziła triumfująca, młody czarownik zaniepokoił się: „A nuż łosoś nie nadciągnie i ludzie uwierzą czarownicy?".

Któregoś wieczoru wyszedł ze swej ziemianki i poszedł w stronę morskiego brzegu.

W lesie, nagrzanym za dnia, było ciepło i duszno od zapachu świeżego igliwia, roztopionej żywicy, gorzko pachnącego listowia — zeszłorocznego, gnijącego na ziemi i świeżego, jaskrawozielonego, rosnącego bujnie na gałęziach drzew. W jasnym mroku białej nocy życie nie zamierało: w gałązkach i krzewach uwijały się ptaki, pod liściami szemrały jakieś nocne zwierzątka. Na północy las nie śpi o tym czasie.

Ale oto drzewa przerzedziły się i od morza wionęło słonawą wilgocią. Wkrótce przed Lokiem leżała gładzina zatoki.

Na prawo i lewo rozpościerał się kamienisty brzeg, zygzakiem ginący w siniejącej dali. Zaczął się przypływ, nasilił się szum biegnących ku brzegowi fal. Zębaty brzeg ozdobiła biała obwódka piany.

Lok nie spuszczał wzroku z zatoki. Postał chwilę, oczekując, potem powoli zawrócił. Ale przed wejściem w las obejrzał się jeszcze i aż krzyknął z radości. W dali na jasnym niebie jakby zamigotały płatki śniegu. To leciały mewy.

Współplemieńcy Loka nie łowili śledzi, bo nie mieli sieci. Nie zastanawiali się, dlaczego co roku po pojawieniu się w zatoce stad mew do wodospadu Szojrukszi nadciągały łososie, żywiące się śledziami. Po prostu wiedzieli, że tak jest.

Teraz Lok był spokojny. Wróciwszy do koczowiska specjalnie przeszedł wśród ziemianek i wszystkim napotkanym mówił to samo:

— Moje duchy walczą z duchami najstarszej czarownicy, odganiającymi łososie. Jak tylko moje duchy zwyciężą, łososie zapluszczą u wodospadu.

Głupia starucha zamyślała poważnić Loka z plemieniem, a stało się tak, że nie młody czarownik, a jej duchy okazały się wrogami koczowiska. Kiedy doniesiono jej, co powiedział Lok, zamrugała przestraszona wyblakłymi oczami. Dopiero teraz zrozumiała, co uczyniła. Jeśli pojawią się łososie, ludzie powiedzą, że to Lok jest obrońcą plemienia, nie pojawią się — wina spadnie na jej duchy.

Któregoś dnia o świtaniu dwa duże łososie wyskoczyły z rzeki na skalisty brzeg u wodospadu. To skręcając swe ciała w pierścienie, to wyprostowując je i z siłą odpychając ogonami od kamieni, ryby pokonywały skokami przestrzeń między dolnym a górnym lustrem wodospadu.

CDN

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 6.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Towarowa 28.
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 21. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Zam. 2963.

WAKACJE na hucie

Ilekroć podczas letnich upałów napotykam w prasie liczne wzmianki o ciężkiej pracy hutników wykonujących plan w „płomieniach ognia", nie dają mi spokoju co najmniej dwie wątpliwości. Po pierwsze: czy to możliwe, by temperatura, którą hutnicy muszą przez 8 godzin dziennie znosić przekraczała aż — jak czytałam — 70°C; a po drugie: czy gwałtowne sezonowe zainteresowanie tym problemem jest wynikiem li tylko działania prostego prawa psychologicznego (ja tu się pocę, ale co dopiero mają powiedzieć ci przy piecach!), czy też istotnie w sąsiedztwie rozgrzanej stali gorącej jest w lecie niż w zimie?

Aby odpowiedzieć na te pytania (ale nie tylko po to), postanowiłam pojechać do jednego z największych warszawskich zakładów, do huty „Warszawa". I nie musiałam obawiać się, że z powodu tzw. sezonu urlopowego będę miała niepełny obraz tego, co się tam zazwyczaj dzieje. W hucie nie ma wakacji, bo nie może być mowy o żadnym przestoju. Urlopy rozplanowane są równomiernie na cały rok.

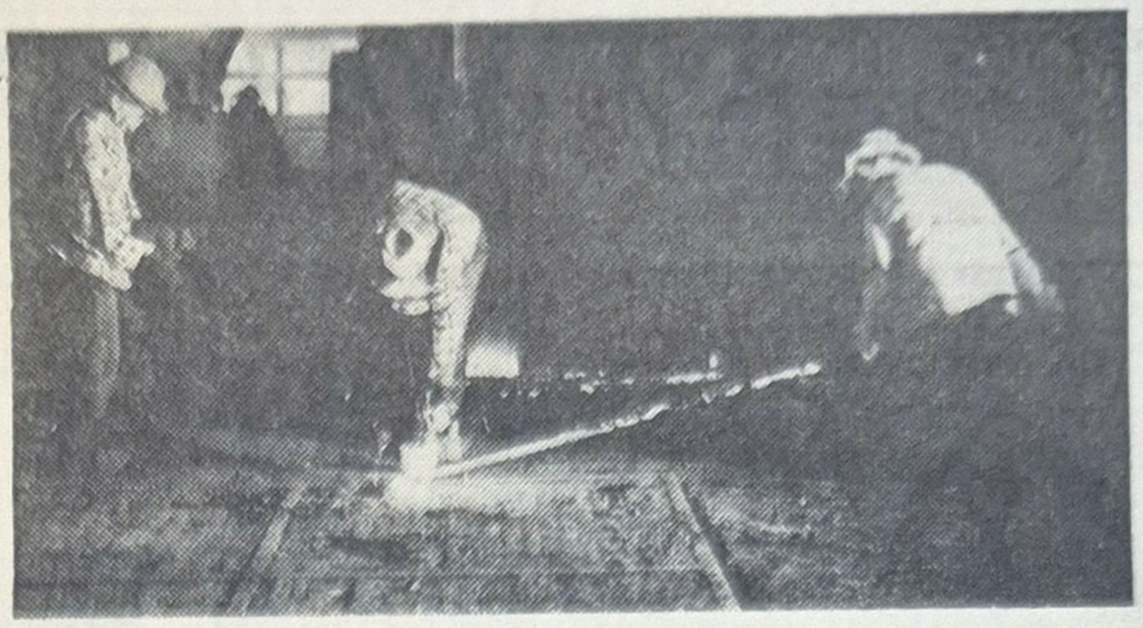

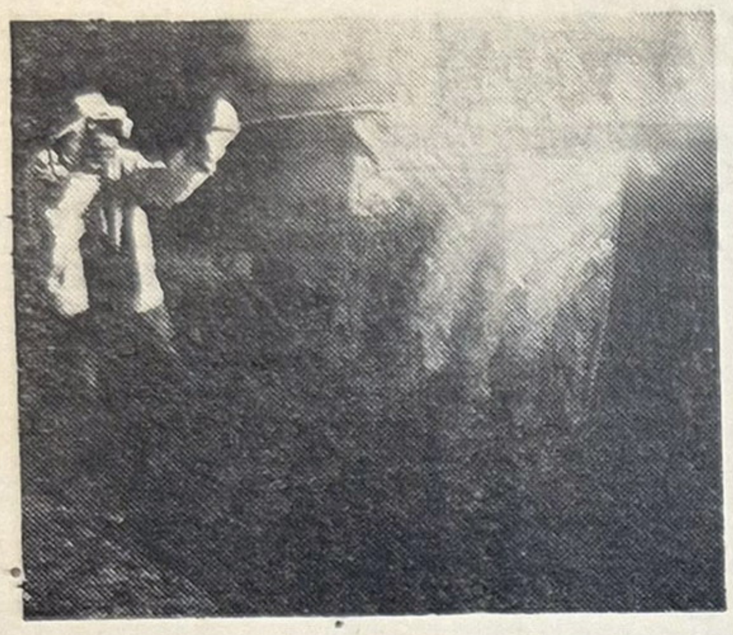

W stalowni — jednym z najważniejszych działów huty — w 3 piecach martenowskich i 5 elektrycznych wytapia się rocznie kilkaset tysięcy ton stali. Czas wytopu od tzw. nasadzenia do spustu pieca wynosi w „elektryku" 4—6 godzin, zaś w „martenie" trochę dłużej. Mimo dużej mechanizacji nie da się uniknąć wielu robót ręcznych. Choćby np. dosypywania łopatą do pieca z bulgocącą stalą (1700°C) niewielkich ilości jakiegoś składnika. Także ręcznie — za pomocą drąga zakończonego czymś w rodzaju łyżki — pobiera się próbkę stali, by w laboratorium ustalić, czy ma ona właściwy skład. Na podobnie bliski kontakt z zawartością hutniczego pieca narażeni są wytapiacze w momencie ściągania żużlu pływającego po wierzchu niby „szum" na zupie. I rzeczywiście podczas wykonywania tych przykładowych czynności człowiek narażony jest na działanie temperatury od 50 do 60°C.

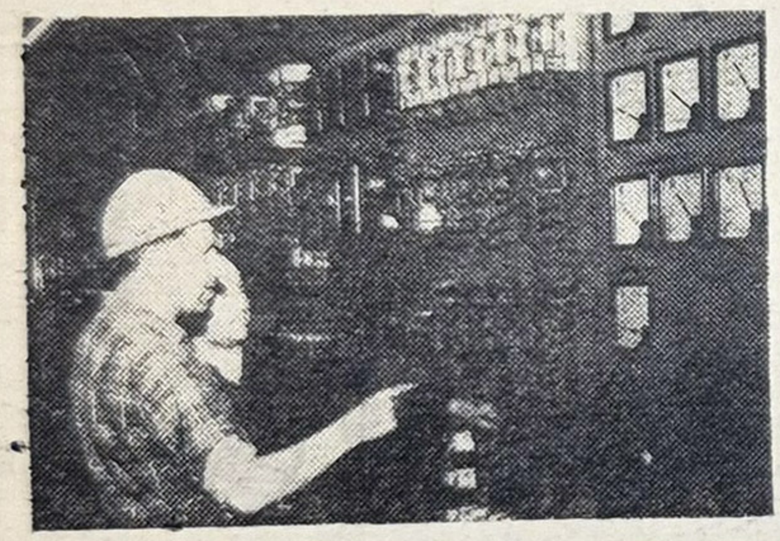

Widoczne na zdjęciu przekaźniki prądu znajdują się w pomieszczeniu, które na pierwszy rzut oka nie kojarzy się z hutą. A jednak ten właśnie dział jest jej niezbędny.

— Nie ma w Warszawie zakładu, w którym działają tak skomplikowane jak u nas urządzenia elektryczne. Pracujące w samej tylko walcowni maszyny zasila aż 2500 silników. Wszystko musi być w porządku, bo jedno urządzenie zależy od drugiego. 18 elektryków obecnych na każdej zmianie — mówi mistrz utrzymania ruchu elektrycznego, pan **Władysław Głowacki** — ma co robić, by nie tylko likwidować, ale i zapobiegać awariom.

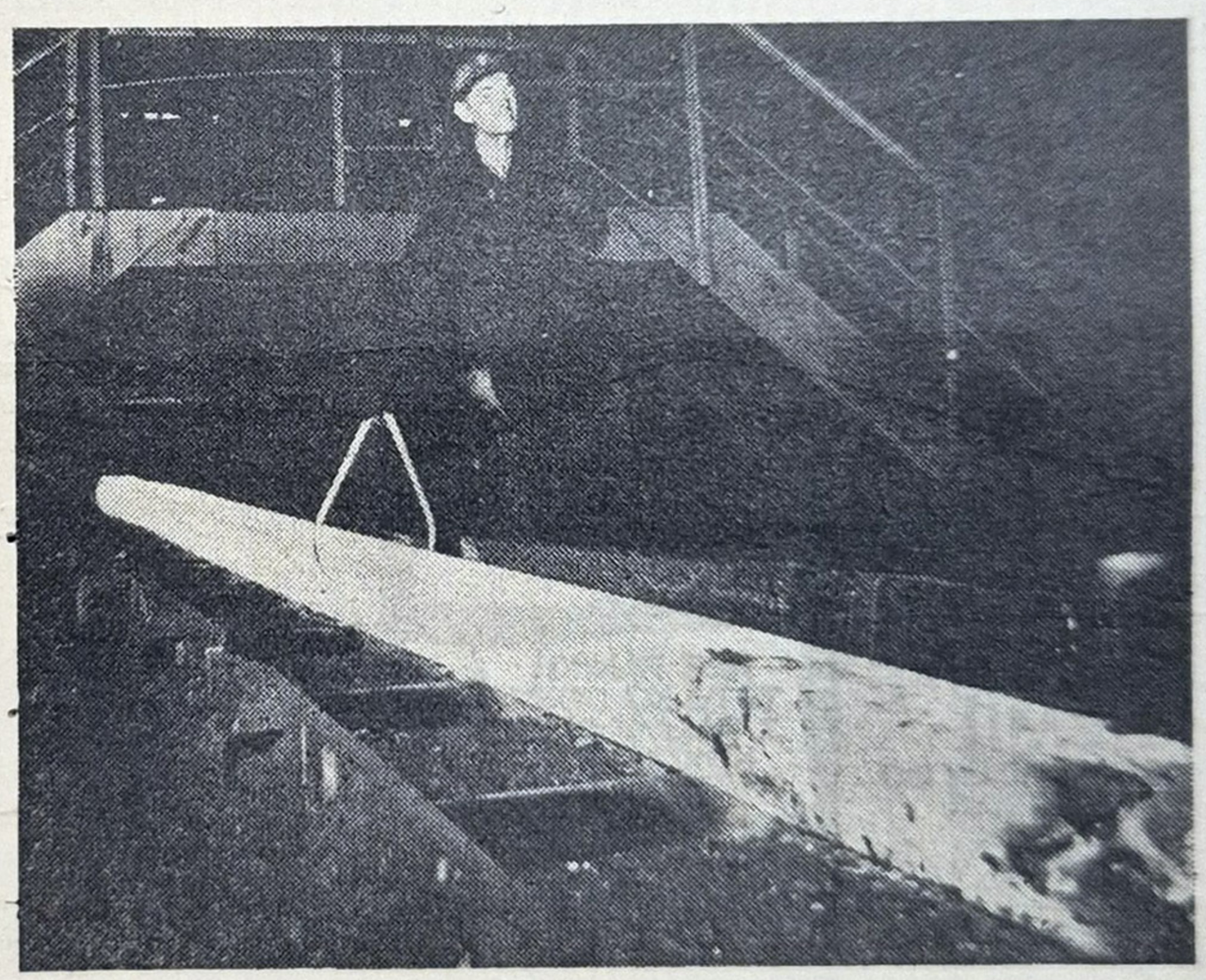

Jesteśmy teraz w walcowni, gdzie na suwnicach odbywa się mechaniczne zgniatanie przysłanych ze stalowni wlewków, czyli 3,5-tonowych kawałów stali. Pierwszy walcownik mierzy właśnie przewalcowane lecz jeszcze gorące kęsisko.

— Mój ojciec był hutnikiem przez 30 lat — mówi po skończeniu pomiarów pan **Władysław Serwatko** — a ja pracuję w tym zawodzie 46 rok, choć mógłbym już pójść na emeryturę. Czy nie czuję się zmęczony? Nie, praca lubiana nie męczy, a mnie się ona podoba, bo nie jest nudna i nie muszę ciągle robić tego samego. To piękny i zaszczytny zawód, zawód dla ludzi wolnych. A ciepłem nie ma się co zrażać...

Część wytopionej w hucie „Warszawa" stali (a jest jej blisko 300 gatunków!) w postaci takich oto kęsiw przekazuje się odbiorcom. Zanim to nastąpi, należy za pomocą palnika tlenowego usunąć wszystkie wady i pęknięcia. Część przerabia się na miejscu. Jednym z produktów końcowych jest stalowa taśma grubości... 0,05 mm, a więc dwa razy cieńsza od żyletki!

T. DROGA-KUPCZYŃSKA
(autorka tekstu)
KAJETAN ADAMOWSKI
(fotoreporter)

Każdy z hutników, zimą czy latem, wypija podczas pracy duże ilości płynów. Dzienne zapotrzebowanie na mleko wynosi w hucie 2500 litrów. Przez całą dobę czynne są bufety z kawą zbożową, herbatą z dodatkiem kwiatu mięty lub lipy, a także bardzo smaczną wodą mineralną, o czym — spróbowawszy uprzednio — zapewniają Was autorzy.

TYTUS

ROMEK I ATOMEK

TEKST I RYS.: PAPCIO CHMIEL

TYTUS, ROMEK I ATOMEK DOSTALI SIĘ DO BAZY KRASNOLUDKÓW. PRZY POMOCY POCISKU »PUK-PUK« ZOSTALI ZMNIEJSZENI DO ROZMIARÓW KRASNALI. MY TEGO SZCZĘŚCIA NIE MAMY. WRĘCZ PRZECIWNIE. KAŻĄ NAM WRÓCIĆ Z WAKACJI O 5 cm »DUŻSI«.

JUTRO SOBOTA. ZAPRASZAM WAS NA WYPOCZYN.

PO NASZEMU MÓWI SIĘ »NA ŁYKENT«. SŁOWO WEEKEND POCHODZI OD ŁYKU ŚWIEŻEGO POWIETRZA.

?

TYTUS

RAKIETĄ WYPOCZYNKOWĄ ZAWIEZIE NAS NA ZIELONĄ TRAWKĘ.

PO NASZEMU MÓWI SIĘ »NA »KEMPINK«. SŁOWO »CAMPING« POCHODZI OD KĘP TRAWY.

?

KIERUNEK WYPOCZYN ZDRÓJ - LOT!

UWAGA! KOMAR PO PRAWEJ BURCIE.

NIEBEZPIECZEŃSTWO! KOMAR PRZYSYSA SIĘ DO ZBIORNIKA PALIWA!

ZAPNIJCIE PASY. WPROWADZAM RAKIETĘ W RUCH WIROWY!

T

ODPADŁ! NIE PRZYPUSZCZAŁEM, ŻE KOMARY ŻYWIĄ SIĘ PALIWEM RAKIET.

ALE TYLKO PALIWEM RAKIET KRASNOLUDKOWYCH.

WYPOCZYN ZDRÓJ.

JESTEŚMY NA MIEJSCU. NARESZCIE MOŻEMY ZDJĄĆ REPREZENTACYJNE BRODY I UDAĆ SIĘ NA SPACEREK.

?

WTEM!

BUM!

TRZĘSIENIE ZIEMI! WSIADAJMY DO RAKIETY!

BEZ PANIKI! TO TYLKO SPADŁ Z PALMY ORZECH KOKOSOWY. WĘDRUJEMY DALEJ!

HEJ HO! NA WYPOCZYN BY SIĘ SZŁO... HEJ HO!

WTEM!

?!

STRACHOZAURUS! POŻRE NAS!

KSZTAŁT MA NORMALNEJ JASZCZURKI.

HA, TYTUS! POZNAJĘ CIĘ! TO TY MI URWAŁEŚ OGON NA OBOZIE!

PRZYSIĘGAM, NIEUMYŚLNIE CHCIAŁEM CIĘ ZŁAPAĆ DO SZKOLNEJ PRACOWNI PRZYRODNICZEJ.

TAK ALE TERAZ ŻADEN JASZCZUR NIE CHCE MNIE ZA ŻONĘ.